

## Andrzej Jan Zakrzewski - Maluszyn / Częstochowa

Gdzieś nad Pilicą

Konstanty Wodzisławski, ps. Zagon

---

Andrzej J. Zakrzewski

W bieżącym roku minie 75--ta rocznica wybuchu II wojny światowej. W Europie znów niespokojnie! Czyż trzeba przypominać o tym, jak groźna jest wojna dla życia nie tylko żołnierzy walczących na froncie, ale także i cywilów na tyłach? Moje pokolenie ludzi urodzonych w okresie trwania II wojny światowej, wcale nie tęskni, mam nadzieję, za kolejną zawieruchą wojenną. Jesteśmy szczęśliwi, że udało nam się przeżyć całe życie, wprawdzie w trudnych warunkach, ale bez zagrożenia wojennego! Podziwiamy żołnierzy i partyzantów, oddajemy im należną cześć. Ale czyż musimy ich naśladować? Czy muszą ich naśladować dzisiejsi dwudziestolatkowie?

Rozpaczam publikację wspomnień byłego żołnierza Armii Krajowej, Konstantego Wodzisławskiego z Maluszyna, ps. Zagon, który przekazał do nieistniejącej już, niestety, szkoły w Maluszynie ich tekst z "tym warunkiem, ażeby te wspomnienia były dostępne dla chętnych czytelników.". Tą publikacją czynię zadość życzeniom Autora. Kolejno, w miarę posiadanego czasu, będę dopisywał dalsze fragmenty. Mam nadzieję, że wspomnienia te ożywią pamięć o postawie ludności Maluszyna i dawnej gminy Maluszyn w okresie wojny. A może uda się odnaleźć inne dokumenty i wspomnienia? Ze względu, że praca jest dosyć obszerna, poczyniłem w niej pewne skróty, co zaznaczam kwadratowym nawiasem. Unowocześniłem także pisownię i składnię, dostosowując ją do współczesnych zasad języka polskiego. Sądzę, że praca Konstantego Wodzisławskiego wzbudzi zainteresowanie Czytelników tej strony i być może władze gminy Żytno, znajdą środki na jej kompletne i krytyczne wydanie.

Konstanty Wodzisławski, ps. Zagon, Gdzieś nad Pilicą. Kilka wspomnień AK-owca z Maluszyna. Kserokopia. Oryginał przechowywany w kancelarii Szkoły Podstawowej w Maluszynie/, Opole 1997, Wstęp. Kolega Zygmunt Leichert, który uciekł przed gestapo z poznańskiego, gdzie w Mielnie był nauczycielem, w czasie okupacji niemieckiej osiedlił się w Łazowie i pracował jako nauczyciel. On to podsunął mi myśl opisanie swoich przeżyć okupacyjnych, a to celem ich przekazania przyszłym pokoleniom. I z tych powodów, w miarę swoich możliwości i pamięci, to co sam przeżyłem i o czym dobrze wiedziałem - starałem się opisać. Postępując w myśl zasady, że wszystkie pamiętniki mają wartość tylko wtedy, kiedy nie są zmyślane i podkoloryzowane, wszystkie moje okupacyjne przeżycia starałem się opisać tak, jak je widziałem i odczułem. Jeżeli o kimś napisałem więcej, np. o Zygmuncie Leichertcie, Ignacym Bakalarzu, czy też o Piotrze Szygule - to ci ludzie wykazali tyle hartu, odwagi i poświęcenia dla ratowania zagrożonych i naszej polskiej sprawy byli całkowicie oddani. Moje wspomnienia o nich są zaledwie małą częścią tego, co swoim oddaniem dla sprawy polskiej zasłużyli.

Może się komuś wydawać dziwne, że przed wojennym sądem niemieckim broniłem hrabiego Potockiego, ale uważałem to za swój obowiązek, bo od początku najazdu niemieckiego na Polskę przyjęliśmy jako zasadę, że wszyscy jesteśmy Polakami i naszym obowiązkiem jest chronić i bronić każdego Polaka, bez względu na narodowość, wyznanie, czy też pochodzenie społeczne. W imię tej zasady broniłem też hr. Potockiego.

Zdaję sobie sprawę, że pamięć człowieka jest zawodna i po tylu latach trudno jest wszystko pamiętać i dokładnie opisać, ale to, co pamiętam, starałem się opisać bez koloryzowania. Głównym celem moich wspomnień jest: "Ratujmy dla pszyszłych pokoleń to, co w czasie tej okrutnej okupacji niemieckiej przeżyliśmy".! Moje okupacyjne przeżycia nie należą do czynów wielkich - tak je i teraz widzę- ale były w dużej mierze ryzykowne i często niebezpieczne.

Tak się zaczęło

Już na początku wojny doznałem poważnego wstrząsu. A było to tak: Sekretarz gminy Maluszyn - Bulikowski - 2 września samochodem Potockiego pojechał do starostwa do Radomska po pieniądze na pobory dla nauczycieli gminy Maluszyn na trzymiesięczną odprawę. Gdy wracał z powrotem z Radomska, został w Gidlach zatrzymany przez wojska niemieckie - zrewidowany i wylegitymowany. Niemcy zabrali Bulikowskiemu rewolwer, pieniędzy nie zabrali i pozwolili Bulikowskiemu odjechać. Gdy Bulikowski przyjechał, do Maluszyna opowiadał, że Niemcy są w Gidlach i zabili Żyda Blume(n)felda. Nikt z nas nie chciał w to uwierzyć wierzyć. Zarzuciliśmy Bulikowskiemu, że sieje panikę i uprawia dywersję. Ażeby temu zapobiec i nie dopuścić do dalszego siania paniki wśród ludzi, wsiadłem na rower i pojechałem na posterunek policji w Silniczce, gdzie zameldowałem komendantowi Wróblowi, jakie wieści rozgłasza sekretarz Bulikowski. Na posterunku, oprócz komendanta, był też kapitan WP. Po złożeniu meldunku, komendant i

## Andrzej Jan Zakrzewski - Maluszyn / Częstochowa

Gdzieś nad Pilicą

Konstanty Wodzisławski, ps. Zagon

---

kapitan bardzo wymownie spojrzeli na siebie i po chwili komendant powiedział, że się tą sprawą zajmie. Jednak wkrótce potwierdziło się, że Bulikowski mówił prawdę, bo 2 września 1939 roku wojska niemieckie już były w Gidlach. Pod wieczór 4 września 1939 r. hitlerowskie hordy zbliżały się do Maluszyna. Tak, jak większość mieszkańców, ja również uchodziłem przed wrogiem. Kiedy z siostrą Tolą wyszliśmy na drogę prowadzącą do Ciężkowiczek (było to około 17 godziny), w tym czasie czołówka wojsk hitlerowskich na motocyklach dojeżdżała do Maluszyna. I oto zobaczyliśmy, jak kilku żołnierzy niemieckich zeskoczyło z motocykli, zbliżyli się do pierwszych zabudowań i pociskami zapalającymi te budynki podpalili. Patrzyliśmy na to z siostrą i własnym oczom nie wierzyliśmy, gdyż w żaden sposób nie mieściło się nam w głowie, że Niemcy potrafią wojnę prowadzić nawet z zabudowaniami. Wieczorem tego samego 4 września 1939 r. wywiązała się w Maluszynie walka z małą grupą naszego wojska. Poległo kilku naszych żołnierzy i Niemcy znów spalili kilka zabudowań. Zabili 10 niewinnych polskich żołnierzy. Niemiecki Wehrmacht w dniu 5 września 1939 r. zamordował w Silniczce sześciu Polaków jedynie tylko za to, że kopali grób i chcieli pochować zabitego żołnierza polskiego. Nazwiska oomordowanych: 1.Wojciech Soliński - lat 76, ojciec. 2.Bronisław Soliński - lat 30, syn, niemowa; 3.Franciszek Topól- lat 70; 4. Jan Komar, lat 64; 5. Jan Konieczny - lat 59; 6.Jan Arabas - lat 52. Wszyscy sześciu pochowani zostali w jednym grobie na cmentarzu w Maluszynie. Na ich pomniku wyryto następujący napis: "Wymienieni zginęli śmiercią tragiczną z rąk niemieckiego okupanta w Silniczce dnia 5. IX. 1939 r. Polsko, Ojczyzno nasza, Tu leżą Twe syny. Chwaląc Boską i Twą potęgę, zgineli bez winy". Tego samego dnia 5 września 1939 r. oficerowie niemieckiego Wehrmachtu w Łazowie zastrzelili Stefana Świtonia, a brata jego, Franciszka, ciężko poranili. Powód - ktoś przebiegał koło ich zabudowań. Nawet nic niewinnego chłopca, który w pobliżu szosy past był - ci niewinni wehrmacht-łowcy też zastrzelili. Wieczorem 4 września widzieliśmy łuny pożarów, m. im. palił się Maluszyn, a dalej Borzykowa, Cieletniki i wiele innych miejscowości. Następnego dnia znów było widać pożary, tylko dalej wysunięte na wschód i było ich więcej. Tak to Niemcy okazywali swoje barbarzyństwo. Widocznie wzniesionymi pożarami dawali sobie znaki, dokąd już doszli, a w dodatku tymi pożarami siali panikę i terroryzowali polską ludność. W dniach 4 i 5 września 1939 r. w Maluszynie i najbliższej okolicy (parafii Maluszyn) Wehrmacht niemiecki zamordował 16 osób.

### Szukanie śmierci

Czwarty września 1939 r. zadal mi jeszcze jeden straszny cios . Wieczorem tego dnia straciłem najdroższą mi osobę - zabita została moja Matka - Franciszka Wodzisławska, mając 56 lat. Wieczorem tego tragicznego dnia, już pod koniec walk w Maluszynie, wysuniętym o 4 km na południowy wschód od Łazowa, Matka była u córki, Józefy Baryła, mieszkającej w samym środku Łazowa. Zachowywała się jako dziwnie, wykazując duży niepokój, Wprost Matkę opanował jakiś wielki strach. Nigdzie nie mogła znaleźć sobie miejsca. Postanowiła uciekać do kuzyna, Cybulskiego, do Stawiska (tak nazywano zachodnią część Łazowa), gdzie mieszkał kuzyn. Do tego Stawiska Matka poszła z 11-letnim chłopcem - bratem synowej - Jasiem Wiązkowiczem. I tam na tej drodze Matka została zabita, a Jasio ciężko ranny. Znalaziono ich dopiero następnego dnia rano. Jak to się stało? Z przeciwnej strony, od Koziego Pola, szedł żołnierz polski. Kiedy zbliżył się do naszych ofiar, chłopiec, który szedł z Matką, zaświecił temu żołnierzowi w oczy lampką elektryczną. Żołnierz bez namysłu oddał dwa strzały z karabinu. Zbliżając się do ofiar stwierdził, że zabił moją Matkę, a Jasia ciężko ra nił. O tym, że zabójcą mojej Matki przypadkowo stał się żołnierz polski, ten sam żołnierz o całym zajściu opowiedział znajomym w Krzętowie. Był bardzo załamany, nie mógł sobie znaleźć miejsca i powiedział: "zabiłem niewinną kobietę!" i dokładnie opisał, jak to się stało. W każdym bądź razie z całą dokładnością zostało stwierdzone, że w dniu 4 września Niemców w Łazowie nie było. Ale skąd o tym mógł wiedzieć wycofujący się w nocy żołnierz, w dodatku słysząc odgłosy toczącej się przed nim walki.

W dniu 6 września odbył się pogrzeb Matki. Do cmentarza w Maluszynie trumnę ze zwłokami musieliśmy dowieźć przez pola, bo droga była przez ciągnące wojska niemieckie, zajęta. Po dowiezieniu zwłok na cmentarz, poszedłem po księdza Proboszcza - był nim ks. Poraj - Kobielski a wikarym ks. Wiśniewski. Na plebanii zastałem dwóch gestapowców, którzy książy pilnowali. Po wytłumaczeniu Niemcom przez księży, po co przyszedłem, gestapowcy pozwolili księżom iść ze mną, ale w ich asyście. Tak przyszedliśmy na cmentarz i tak się złożyło, że przy pogrzebie pierwszej ofiary hitlerowskiej na naszym cmentarzu, asystowali Niemcy. Po skończonym pogrzebie gestapowcy z powrotem odprowadzili księży na plebanie, a my znów przez pola rozeszliśmy się do domów. Tak tragicznie zaczęła się dla mnie II wojna światowa.

### Sąd wojenny

19 września 1939 r. Niemcy aresztowali właściciela majątków klucza Maluszyn - Stanisława hr Potockiego. O zmroku dnia 21 września do mojego mieszkania wszedł żołnierz niemiecki mówiący po polsku, i nawet nie zapytał mnie o nazwisko, rozkazał mi się szybko ubierać i powiedział: "Pojedzie Pan z nami!". Ponieważ jeszcze przed wybuchem wojny zwymyślałem kilku okolicznym volksdeutschów myślałem, że już ze mną koniec. Siostra Tola rzuciła mi się na szyję z płaczem, i wtedy Niemiec znowu się odezwał: "niech się pani nie martwi, my zaraz męża przywieziemy z powrotem, a pan niech się śpieszy, bo tu idzie o życie człowieka!". To powiedzenie wskazywało, iż ten Niemiec jest przyzwoitym człowiekiem. Jakoś trochę się uzpokoiłem, siostrę także starałem się uspokoić i wyszliśmy do samochodu. W samochodzie już siedzieli: ksiądz wikary Wiśniewski i księgowy majątków Potockiego, pan Kowalczyk. Kiedy wszedłem do samochodu zauważyłem, że obaj mieli straszne miny - wyczuwałem wielki strach, zaraz zapytałem dokąd jedziemy, ale nikt mi nie odpowiedział. Jak się wkrótce okazało, to aresztowany hr Potocki powołał się na nas, jako świadków, przed wojennym sądem niemieckim, że my dowiedziemy, że on nie strzelał do żołnierzy niemieckich - ba taki mu stawiano zarzut. Ten sąd odbywał się w klauzurze klasztoru ojców Dominikanów w Gidlach, gdzie nas zawieziono i pojedynczo badano. Ksiądz Teodor Wiśniewski niedawno do Maluszyna przyjechał, dlatego niewiele mógł o Potockim powiedzieć. Natomiast mnie uprzedzono o odpowiedzialności i straszono, a zarazem dość dużo pytano, np. czy graf Potocki jest oficerem polskim? czy dnia 4 września w czasie boju w Maluszynie strzelał do żołnierzy niemieckich? Na pierwsze pytanie odpowiedziałem, że Potocki jest oficerem polskim - rezerwy, ale od kilku lat nie był powoływany na ćwiczenia rezerwy. Na drugie pytanie odpowiedziałem, że Potocki nie mógł strzelać do żołnierzy niemieckich, ponieważ w tym czasie w Maluszynie Potockiego nie było. Potocki w dniu 4 września przebywał w leśniczówce w Budzowie. Następnie postawiono mi pytanie, czy Potocki kazał strzelać do żołnierzy niemieckich? Na to pytanie też odpowiedziałem, że nie kazał i dodałem, że ani Potockiego, ani żadnego z mężczyzn do użycia broni w Maluszynie w tym dniu nie było, bo wszyscy mężczyźni poszli dalej na wschód. Pana Kowalczyka pytano podobnie, tak jak mnie. Po naszych zeznaniach o godzinie 1 w nocy dnia 22 września, Potocki został zwolniony i razem z nami wrócił do Maluszyna. Odwoził nas ten sam żołnierz niemiecki. I w tej drodze powrotnej Potocki pokazał nam, kto to on jest - powiedział: "Proszę panów, ja już rano wiedziałem, że będę wolny, bo gdy przyjechał generał (nazwiska nie pamiętam), to krzyczał na majora prowadzącego sprawę: "jak pan mógł tak zniekształcić takie piękne i historyczne nazwisko?". Nawet w tym tragicznym momencie dostaliśmy nauczkę, ażebyśmy wiedzieli, kto jest hr Potocki! - Hrabio Potocki! - jeżeli ciebie uratowało twoje nazwisko, to po co w nas szukałeś obrony i ratunku? Nie, panie hrabio Potocki, myśmy ciebie uratowali, a nie twoje nazwisko! Ten żołnierz, który nas odwoził z powrotem, był jakimś wyjątkowym człowiekiem, bo do Potockiego powiedział: "Bardzo się cieszę, że pana zwolniono, i że Pana odwożę do domu!". tu nasuwa się refleksja: widzisz, hrabio, pomimo krzywd, jakie wyrządziłeś wielu ludziom, kiedy zaszła potrzeba, to ci ludzie szli ci z pomocą! Ale za swoje wyczyny przedwojenne, musiałeś pozostać od spraw polskich odizolowany, czyli pozostałeś poza nawiasem prawdziwych Polaków. Zarzucałeś swojemu administratorowi, Piotrowi Szygule, że za twoje pieniądze wykupił się Polakom i Niemcom, i pozyskał ich zaufanie. Ale nie chciałeś, czy też nie mogłeś zrozumieć, że Piotr Szyguła był patriotą, znajomości z Niemcami wykorzystywał dla dobra Polaków. Szyguła wielu ludzi uratował od represji hitlerowców, a nawet powyciągał z więzienia. [...]

### Radio

Kiedy w październiku 1939 r. Niemcy zabrali wszystkie odbiorniki radiowe, kolega Bolesław Lichosik z Silniczki, kierownik tartaku, miał dwa odbiorniki radiowe. Stary oddał Niemcom, a nowy pozostawił i schował w tartaku. W końcu listopada 1939 r. radio kol. Lichosika zainstalowaliśmy w tartaku w Silniczce z tym, że usunęliśmy głośnik, a wmontowaliśmy dwie pary słuchawek. Początkowo z zainstalowanego radia korzystały następujące osoby: 1. Właściciel, kol. Lichosik; 2. Czesław Wypchło - kier. szkoły powszechnej w Silniczce; 3. Bolesław Głogowski - strzelec z Budzowa; 4. Ja, Konstanty Wodzisławski; 5. Kucharzewski - stróż z tartaku. Później, kiedy na naszym terenie początkach 1940 r. zaczęto organizować ZWZ (Związek Walki Zbrojnej) - grono korzystających z tego radia mocno się powiększyło z tego radia korzystaliśmy aż do grudnia 1944 r., kiedy to uległo zepsuciu. Ja chodziłem przeważnie na nasłuch w języku rosyjskim. [...] Pewnego razu z nasłuchu wracałem już po godzinie policyjnej. Śnieg był bardzo duży, sięgał do pasa. Kiedy wyszedłem na szosę idącą w kierunku Maluszyna, zatrzymał mnie wechmeister Schwarzeimer, zastępca komendanta żandarmerii w Gidlach, i zapytał, dokąd idę? Jakoś bez zastanowienia

## Andrzej Jan Zakrzewski - Maluszyn / Częstochowa

Gdzieś nad Pilicą

Konstanty Wodzisławski, ps. Zagon

---

odpowiedziałem, że wracam do domu. Schwarcmeier na to: "To idź, bo już późno!" Akumulatory do naszego radia początkowo ładował ob. Frach - właściciel młyna w Ciężkowickach, a później ppor. Dostal - kierownik gorzelni w Maluszynie.

Pewnego razu stróż nocny tartaku, ob. Kucharzewski z Silniczki zabrał naładowany akumulator z gorzelni i wstąpił z nim do miejscowej spółdzielni "Społem" wykupić kartkowy przydział żywności. Kiedy Kucharzewski wyszedł ze spółdzielni na ulicę, zetknął się z żandarmami. Jeden żandarm zatrzymał Kucharzewskiego i wylegitymował go, zapytał co niesie, zajrzał do koszyka, przerzucił parę paczek kawy i innych rzeczy, i wreszcie przestał dalej grzebać. Całe to zajście obserwowałem przez okno z odległości około 50 m; patrzyłem i drżałem, co dalej będzie. Ale Kucharzewski, chociaż się bał, jednak żandarmom nie dał po sobie poznać, że jest zdenerwowany. Kucharzewski wstąpił do mnie, by chłonać i przeczekać, aż żandarmi wyjadą z Maluszyna.. Następnie dostarczył akumulator na miejsce przeznaczenia i z radia dalej korzystaliśmy.[...].

### Drugie radio

Z drugiego aparatu radiowego, który zainstalowany był w sąsiedniej wsi Silpia Duża, powiat włoszczowski, korzystaliśmy mniej, ale z małymi przerwami, do końca wojny. Z tym aparatem były pewne kłopoty. Jego właścicielem był kierownik szkoły w Silpi Dużej – Schabowski. Schabowski był na tyle nieostrożny, że usłyszane wiadomości opowiadał wszystkim znajomym. To radio stało się tak głośne, że o nim wiedziała cała okolica. Nic więc dziwnego, że dowiedzieli się również Volksdeutsche z okolicznych wsi. Wobec takiego rozgłosu postanowiliśmy to radio zabrać od Schabowskiego, ale to nie była sprawa taka prosta. Na początku Schabowski nie chciał się zgodzić na oddanie sprzętu, a później żądał, ażeby mu powiedziec, gdzie jego radio zostanie zainstalowane, na co my, znów bojąc się wyspy, nie mieliśmy chęci. Jednak na moje perswazje, że swoim postępowaniem i uporem naraża na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale i całą rodzinę – chorą żonę i troje małych dzieci. Nareszcie Schabowski aparat mi wydał. Aparat ten przewieźliśmy na Sudzinek i zainstalowali u Antoniego Musiała. Gdzieś w tydzień po zabranii radia od Chabowskiego, było to pod koniec listopada 1939 r., późnym wieczorem dostaje meldunek, że Niemcy jadą na rewizję do Schabowskiego, szukać aparatu radiowego. Wiadomość ta pochodziła od komendanta posterunku policji [granatowej – p.w.] w Silniczce, starszego przodownika Wróbla, którego Niemcy zabrali ze sobą, ażeby im wskazał drogę do Silpi i dopomógł przeprowadzić rewizję. Pan Wróbel, najprzód zaprosił Niemców (byli to policjanci Volksdeutsche) na wódkę, i kiedy Niemcy sobie już podpili, Wróbel zaczął do nich głośno mówić, że on im pokaże, jak się szuka radia, a Schabowski będzie bardzo biedny. Wróblowi chodziło o to, ażeby Schabowskiego uprzedzono o rewizji. Ta wiadomość dotarła do mnie. Łącznikowi odpowiedziałem, że sprawa zostanie załatwiona, a sam położyłem się spokojnie ponieważ wiedziałem, że Niemcy radia u Schabowskiego nie znajdą, a nawet byłem zadowolony, że uchroniłem Schabowskiego od nieszczęścia, i tej nocy dobrze spałem. Sprawę radia Schabowskiego załatwiliśmy we trzech: ja, Józef Cisowski z Gościęcina i ppor. rezerwy Edward Gradoński z Silpi. Chabowski skarżył się, że głównym macherem w czasie rewizji był starszy przodownik policji granatowej, Wróbel. On wszystkim kierował i sam szukał radia, znajdujące się rzeczy w szafach wyrzucał na środek mieszkania.

Podczas rozmów z Wróblem, powiedział mi, że przez cały czas trwania rewizji u Schabowskiego myślał tylko o tym, jak w razie znalezienia zabezpieczyć radio, ażeby Niemcy nie zauważyli, dlatego tak energicznie sam kontrolował.

Faktycznie, starszy przodownik Wrobel był dobrym Polakiem i naszym człowiekiem, dlatego należy mu wierzyć, że mówił prawdę. Zresztą później Wrobla sam zaprzysiąłem i wprowadziłem do ZWZ.[...]

### Biblioteka

W 1936 r. zorganizowałem w Maluszynie gminną bibliotekę, którą prowadziłem do wybuchu drugiej wojny światowej. Zaraz we wrześniu 1939 r. do szkoły w Maluszynie sprowadził się volksdeutsch Hineburg, który na parę miesięcy przed wybuchem wojny przyjechał z Łodzi (podobno stamtąd uciekł) i zamieszkał wśród kolonistów na Błoni. Kiedy się dowiedziałem, że Niemcy niszczą polskie książki, część książek przekazałem miejscowym mieszkańcom, a część sam ukryłem. Po kilku dniach przyszedł do mnie właśnie ten volksdeutsch Hineburg celem

## Andrzej Jan Zakrzewski - Maluszyn / Częstochowa

Gdzieś nad Pilicą

Konstanty Wodzisławski, ps. Zagon

---

zabrania książek z biblioteki. Na szczęście książek w bibliotece było już niewiele, ale i te, które były Hineburg zabrał i zniszczył. Pozostałe książki dalej wypożyczałem mieszkańcom Maluszyna i okolicznych wiosek, a chętnych do czytania było wielu. Duży popyt był na książki o tematyce historycznej. A nawet wypożyczałem książki partyzantom AK z oddziału "Andrzeja" – było to w tym czasie, kiedy oddział ten stacjonował w lasach między Wolą Życieńską i Krzętowem. W końcu października i listopada 1939 r. w Maluszynie stacjonował oddział Wehrmachtu. Niemcy m. in. i mój sklep zajęli na kwaterę. W tym czasie miałem 5 szafek przenośnych, z "małej biblioteczki", każda na 50 książek, w których dostarczało się książki do poszczególnych wiosek. Ponieważ w tym czasie, kiedy Niemcy zajmowali mój sklep na kwaterę, szafki były już bez książek, więc pozostawiłem je na miejscu, gdyż nigdy nie przypuszczałem, że Niemcy mogą je zabrać. A jednak tak się stało, żołnierze niemieccy zabrali wszystkie 5 szafek! [...]

### ZWZ – AK

Do polskiego ruchu oporu, ZWZ [Związek Walki Zbrojnej- p.w.], wprowadzony zostałem w początkach marca 1940 r. przez kierownika szkoły w Silniczce, kol. Czesława Wypchnę, PS. "Dąbski", który odebrał ode mnie przysięgę. Przybrałem pseudonim "Żar", którym posługiwałem się do czerwca 1942 r., tj. do czasu aresztowania Czesława Wypchnę, który był organizatorem ZWZ na terenie gminy Maluszyn, a ja zostałem jego zastępcą. Później Czesław Wypchnę, jako porucznik rezerwy, został mianowany dowódcą kompanii na tereny gmin Maluszyn, Koniecpol, Wielgomłyny. Na początku postanowiliśmy do organizacji wciągać ludzi, których dobrze znaliśmy i mieliśmy do nich zaufanie i mających możliwości swobodnego poruszania się w terenie. Najprzód poszli w większości nauczyciele, sklepikarze, pracownicy poczty, wszyscy leśnicy, większość pracowników majątków, pracowników młynów i kogo się dało z gminy oraz miejscowych policjantów. Postępowanie nasze powodowane było tym, że zawsze i wszędzie chcieliśmy mieć łączników i domy, w których w razie potrzeby można będzie ulokować osoby spalane, te, których Niemcy poszukują. Następnie werbowaliśmy wszystkich wojskowych, a zwłaszcza specjalistów różnych broni. Niezależnie od wyżej wymienionych obowiązków, w swoim sklepie prowadziłem punkt kontaktowy i rozdział Pracy konspiracyjnej oraz otrzymywanie i wysyłanie meldunków. Dzięki dwóm odbiornikom radiowym, Zawsze mieliśmy aktualne wiadomości ze świata. Nasz punkt odbioru prasy znajdował się w sklepie Spółdzielni "Społem" w Gidlach, który prowadziła pani "Wanda", nazwiska nie pamiętam. Nasze hasło brzmiało: "proszę o "Sporty" dla Dąbskiego".

Z czasem nasza organizacja tak się rozrosła, że na terenie gminy Maluszyn mało było ludzi niewtajemniczonych, za prasę czytywano nawet zbiorowo. Gdy się czasem tak zdarzało, że prasy na czas nie dostarczono, to u jej odbiorców wyczuwało się jakieś zdenerwowanie i obawę, czy nie stało się coś złego. [...]

A kiedy przyszedł czas, że pojawili się pierwsi partyzanci, to młodzież, tak męska jak i żeńska, siłą garnęła się do konspiracji. I co najważniejsze, to trzeba przyznać, że nasza młodzież była szczera, odważna, żadna przygód, i w niczym nie zawiodła. O tej młodzieży, z którą w czasie okupacji niemieckiej miałem do czynienia, z dumą dzisiaj wspominam. To była szlachetna i patriotyczna młodzież. Oby Polska zawsze miała taką młodzież!

### Aresztowanie oficerów

Noc z 4 na 5 czerwca 1943 r. była bardzo ciepła, ale bezksiężycowa i bardzo ciemna. Tej nocy spałem w domu. Naraz usłyszałem straszne dobijanie się do mojego domu i rozpaczliwy głos kobiety: "Otwieraj pan, tylko prędko!", i dalej tłuczenie w drzwi. Wciągnąłem tylko spodnie, i co tchu popędziłem do drzwi, by je otworzyć i dowiedzieć się, co się stało? Po otwarciu drzwi okazało się, że dobijającą się kobietą była żona kierownika miejscowej szkoły, pani Gibus. Po wejściu za próg, pani Gibus rzuciła się na mnie, objęła za szyję, zaczęła całować i krzyczeć: "Mój Janek!, mój Janek!..."[...] Dopiero po dłuższym czasie, gdy pani Gibus przyszła do siebie, opowiedział mi co, się stało. Około godziny 12-tej w nocy, ktoś mocno dobijał się do ich mieszkania. Po zbudzeniu się, mąż poszedł do drzwi i zapytał, kto tam? Przybysze odpowiedzieli: "Niech nie pyta, kto jest, tylko niech natychmiast otwiera!" Po otwarciu drzwi weszło dwóch cywilów z bronią w rękę gotową do strzału. Kazali Jankowi podnieść ręce do góry, zapytali czy nazywa się Gibus i oświadczyli, że są niemiecka policją, a on, Gibus, jest aresztowany. Janek poprosił o pozwolenie ubrania się. Od tej chwili, gdzie się Janek tylko ruszył, wszędzie za nim szli gestapowcy. Marynarkę Janek zarzucił tylko na ramiona i wszedł do kuchni po sweter. Kiedy wszedł do kuchni zauważył, że okno jest otwarte, wyskoczył przez to

## Andrzej Jan Zakrzewski - Maluszyn / Częstochowa

Gdzieś nad Pilicą

Konstanty Wodzisławski, ps. Zagon

---

okno z wysokości pierwszego piętra. Jeden z gestapowców chciał Janka chwycić, ale pozostała mu tylko marynarka w rękę, a Janka już nie było. Gestapowcy z obstawy zaczęli strzelać, i to najwięcej mnie zaniepokoiło. Usłyszawszy strzały, pani Gibus bardzo się przejęła, zdawało się jej, że mąż jej leży gdzieś zabity. Bardzo trudno było ją uspokoić. Jednak, chociaż z wielkim trudem, ale mi się to wreszcie udało.

Jan Gibus, popr. rezerwy, był dobrze wysportowany, i dobrze znał całe obejście, a w dodatku noc była bardzo ciemna, i ucieczka udała się. Gibus przeszedł wszystkie dość wysokie ogrodzenia, przepłynął w nocy Pilicę i zatrzymał się u mojego szwagra, Józefa Cisowskiego, w Gościęcinnie. Na moje polecenie, pracownik gminy, Marian Piekarski, zabrał z gminy akta personalne i fotografie Gibusa przygotowane do Kenkart wówczas wydawanych, i tym samym Marian Piekarski dopomógł Gibusowi przeżyć wojnę. Z Gibusem związany byłem przynależnością do AK. Po tym zajściu Gibusowie wyjechali w Lubelskie i nasz kontakt się urwał. Początkowo przypuszczaliśmy, że te aresztowania były indywidualne, jakieś przypadkowe, wsypa, ale wkrótce okazało się, że właśnie tej nocy z 4 na 5 czerwca 1943 r. nastąpiło masowe aresztowanie oficerów w Polsce, a zwłaszcza nauczycieli. W samej szkole w Silniczce, aresztowano trzech: Czesława Wypchłę – kierownika szkoły, Antoniego Szczupaka i Czubałę. Wszystkich wywieziono do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Na szczęście, wszyscy trzej obóz przeżyli, i wrócili. Tej nocy z 4 na 5 czerwca 1942(?) dotknął nas bolesny cios – aresztowanie por. rezerwy Czesława Wypchłę, będącego naszym komendantem, przejściowo osłabiło naszą działalność. Dla pewności zmieniliśmy kilka punktów kontaktowych i pseudonimy. Od tego czasu przybrałem pseudonim "Zagon", którym posługiwałem się do wyzwolenia. {Pomimo tych aresztowań organizacja nasza nie załamała się. Pracowaliśmy dalej, werbując nowych członków i prowadziliśmy różne szkolenia.

Nowym komendantem na gminę Maluszyn został ppor. Kazimierz Olszewski, pseudonim "Pilica". Pracował jako rządca majątków Potockiego. Od 1943 r. zamieszkał w Silniczce, który z tytułu zajmowanego stanowiska miał możliwość poruszania się po dość dużym terenie obejmującym majątki Potockiego, a także innych miejscowości. Wszędzie jeździł, gdzie była potrzeba. W dodatku "Pilica" utrzymywał stały kontakt z grupami leśnymi "Andrzeja" i "Marcina".

Kontra: Schwarzmeyer

Wczesną wiosną 1942 r. przysłał po mnie Piotr Szyguła z którym znaliśmy się i współpracowali od 1940 roku. Jednakże ściślejsza współpraca między nami nastąpiła dopiero w początkach kwietnia 1942 r., kiedy to Szyguła przysłał zaufanego człowieka z prośbą, aby zaraz do niego przyjść. Kiedy zaszedłem to zaraz na wstępie Szyguła powiedział mi: "wczoraj wieczorem był u mnie Schwarzmeyer i skarżył się, że dotychczas w Maluszyńcu nie ma nikogo ze swoich ludzi /konfidentów/, ale on do tego celu upatrzył sobie dwóch ludzi w Maluszyńcu, którzy muszą dla niego pracować. Tymi ludźmi mają być: Julian Berg – miejscowy organista i Józef Dudek – objazdowy lasów Potockiego. Julian Berg dlatego, że ma niemieckie nazwisko i współpraca z Niemcami powinna być jego obowiązkiem. Co Schwarzmeyer mówił o Józefie Dudku – nie pamiętam. Wypowiedzi tego zbira przyjęliśmy dwojako: po pierwsze – ucieszyło nas to, że do tego czasu Maluszyn wolny jest od niemieckich konfidentów, ale jednocześnie napawał niepokój, co będzie z Bergiem i Dudkiem, no i czy na tym się skończy.

Naszym celem i obowiązkiem było czuwanie nad ludźmi i krzyżowanie planów Schwarzmeyera. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że tych dwóch ludzi zostało poważnie zagrożonych, a mż nawet już przekreślonych. Nad nimi zawisła śmierć, bo jeżeli się odpowiednio nie wywiną i nie pójdą na współpracę z Niemcami, to ich zlikwidują sami Niemcy. Gdy zaś pójdą na współpracę z Niemcami – to trudno, ale nasza organizacja, tj. my sami będziemy musieli ich zlikwidować. I tu znów śmierć! Ale przecież ci ludzie, to Polacy i za wszelką cenę trzeba ich ratować, by do tragedii nie dopuścić i nie mieć później wyrzutów sumienia, że ich nie ratowaliśmy, że może można ich było uratować?

Po dosyć długiej naradzie tego trudnego zadania, tj. ratowania tych ludzi podjąłem się ja i Piotrowi Szygule przedstawiłem następujący plan działania. Powiedziałem, że Julian Berg jest dobrym moim znajomym i w tej sprawie porozmawiam z nim osobiście, i mam nadzieję, że uda się znaleźć jakieś wyjście. Co do Józefa Dudka, postaram się usunąć go Schwarzmeyerowi przez hr Potockiego. Propozycją moją p. Szyguła bardzo się ucieszył, gdyż innego wyjścia na razie nie było.

## Andrzej Jan Zakrzewski - Maluszyn / Częstochowa

Gdzieś nad Pilicą

Konstanty Wodzisławski, ps. Zagon

---

Do Juliana Berga poszedłem jeszcze tego samego dnia. Miałem do niego zaufanie, chociaż nie był zaprzysiężony, ale ze względu na długą znajomość, dawałem mu naszą prasę konspiracyjną, a Berg bez zastrzeżeń dzielił się z nami zdobytymi wiadomościami. Jednak dlatego, że Berg nie był zaprzysiężony, nie można go było podciągnąć pod rozkaz usunięcia się z terenu. Pozostało mi tylko jedno – powiedzieć mu wprost jak sprawa wygląda – tak też zrobiłem. Początkowo Berg uniósł się i trudno było go uspokoić, więc powiedziałem mu, że jeżeli nie chce zostać niemieckim konfidentem, to niech przestanie się denerwować i na chłodno, z rozważą trzeba szukać wyjścia z tej przykłej sytuacji, i to prędko, żeby nie było za późno! Wreszcie Berg się uspokoił, i po dłuższej chwili sam wpadł na genialny pomysł: postanowił bronić się swym niemieckim nazwiskiem.

Kiedy za kilka dni przyjechał do niego Schwarzmeyer i zażądał od Berga współpracy na rzecz Niemiec, oczywiście ze swoistym wynagrodzeniem, Berg był już na to przygotowany i dość lekko potrafił się Schwarzmeyerowi wymówić. Sam skarżył się przed tym zbirem, że jego niemieckiego nazwiska bardzo się ludzie boją i d niego stronią. Gdy przychodziła załatwić sprawę chrztu, ślubu czy pogrzebu, to szybko załatwiają sprawę i zaraz uciekają. Ja tu żyję, jak na jakiej odludnej wyspie. A że Berg był lepszym psychologiem od Schwarzmeyera, to dla tego dość lekko udało mu się od współpracy wymówić i to tak, że Schwarzmeyer w to uwierzył i dał mu spokój. Julian Berg był bardzo zadowolony, że się zbiorowi wywinął, a mnie później serdecznie dziękował. Berg nadal współpracował z nami i wojnę przeżył.

Józefa Dudka uważaliśmy za chłopca dość swobodnego i nie bardzo zrównoważonego, w żadnym przypadku za zdrajcę. Ale dla dobra organizacji ostrożność z konieczności trzeba było zachować, dlatego Dudka postanowiłem ratować inaczej. Poszedłem do pracodawcy Józefa Dudka, hr Potockiego, i powiedziałem mu, że nasz wywiad ma pewne dane o przygotowanych przez Niemców wykazów nowych aresztowań, a między innymi na liście jest też i Józef Dudek, który w najbliższych dniach zostanie przez Niemców aresztowany.[...] Gdy zauważyłem, że Potocki poważnie się zastanawia, powiedziałem: "Tu nie można się zastanawiać, bo na to nie ma czasu. Ma pan przecież swoje majątki w Kieleckiem, radzę niezwłocznie przenieść Dudka do tych majątków, i tym go pan uratuje, a sam będzie miał spokojne sumienie". W tym wypadku hr Potocki posłuchał mojej rady, przeniósł Dudka do majątku Moskorzew, znajdującego się w Kieleckiem. Obaj z Szygułą bardzo się ucieszyliśmy, że udało się nam tak bezboleśnie pokrzyżować plany Schwarzmeyerowi, a Maluszyn nadal pozostał bez konfidentów niemieckich. Niestety, Józef Dudek po sześciu miesiącach powrócił do Maluszyna, co mnie mocno zastanowiło i postanowiłem sam rozmówić się z nim. Powiedziałem Dudkowi, że bardzo źle zrobił wracając do Maluszyna. Powinien wiedzieć, że Schwarzmeyer jeszcze nigdy nikomu nie przepuścił i nie przepuści. Radziłem mu, ażeby czym prędzej uciekał z powrotem do Moskorzewa i w Maluszynie więcej się nie pokazywał! Niestety, Dudek nie posłuchał mojej rady. Po kilku dniach został przez Schwarzmeyera aresztowany i wywieziony do Oświęcimia, skąd już nie wrócił.[...]

I tutaj wypada zaznaczyć, że dla nas trochę dziwna logika niemiecka oddała nam wielkie przysługi. Wynikiem tej logiki czyli zaufaniem Niemców do Piotra Szyguły było to, że zanim przyszedł, do Maluszyna, był administratorem majątków Niemca, Geyera, w Dąbrowie Zielonej. Niemcy wyszli z założenia, że jeżeli p. Szyguła był pracownikiem Niemca, bo takim był Geyer z Łodzi, to dlaczego by oni /Niemcy/, nie mieli mieć zaufania do niego, Szyguły. I to było przyczyną, że nawet ten największy bandyta naszego rejonu, Schwarzmeyer, Szygule zaufał i zasięgał jego rad. To zaufanie Niemców Szyguła wykorzystał całkowicie dla konspiracji i oddał nam wielkie przysługi. Wielka szkoda, że Piotr Szyguła już nie żyje. Już po zakończeniu wojny zginął od wrażeń kuli w województwie katowickim, i to nastąpiło w biały dzień!

### Morderca

Zbrodniarz – wachmeister, zastępca komendanta żandarmerii w Gidlach, [Georg – p.w.] Schwarzmeyer, o sadystycznych instynktach i popełnionych przez niego mordach w najbliższej okolicy Maluszyna, niech świadczą następujące fakty: 1. W 1943 roku zastrzelił w Rogfach kobietę, Danielę Kowalczyk, amęża zabitej nastraszył, że z nim zroni to samo; 2. Dnia 27 września 1943 r. Schwarzmeyer zamordował w Łazowie 26-letniego Mariana Wodzisławskiego tylko dlatego, że miał przepuklinę i niezdoony był do pracy; 3. W dniu 3 listopada 1943 r. ten sam zbrodniarz zastrzelił w Cięzkowiczach młodą panienkę, Genowefę Koperownę, za rzekome noszenie bandytom żywności do lasu.

## Andrzej Jan Zakrzewski - Maluszyn / Częstochowa

Gdzieś nad Pilicą

Konstanty Wodzisławski, ps. Zagon

---

Po zastrzeleniu Koperówny, Schwarzmeier poszedł do żony Volksdeutscha-żandarmerii i u niej przeprowadził wywiad o zamordowanej. Zapytał tej kobiety, co to za jedna, ta Koperowa? Na to pytanie otrzymał odpowiedź, że Genowefa Koperowa jest uczciwą, pracowitą i spokojną dziewczyną. Wtedy znów zapytał, czy zadaje się z bandytami, i czy nosi im jedzenie do lasu? Na to pytanie odpowiedziała, że Koperówna nic takiego nie robi, z nikim się nie zadaje i nikomu jedzenia do lasu nie nosi. Na to Schwarzmeier: To jej szkoda, ale już nie żyje, niech jej urządzi uroczysty pogrzeb! 4. Dnia 22 listopada 1943 r. ten sam morderca w Ferdynandowie wymordował całą rodzinę Puszczyńskich: męża, Jana Puszczyńskiego, lat 37, żonę Marianne i dwoje małych dzieci (jedno 3-letnie, a drugie kilumiesięczne). Rzekomą przyczyną morderstwa miało być jakieś dalekie pochodzenie żony Puszczyńskiego z rodziny niemieckiej. Schwarzmeier parę razy odwiedzał Puszczyńską lub wzywał ją do siebie, i kazał jej, ażeby postarała się o dowody pochodzenia i przyjęła obywatelstwo niemieckie. Puszczyńska odmówiła [...]

5. Również 22 listopada 1943 r. Schwarzmeier ze swoją zgrają w Kozimpolu zamordował Ludwika Bussa – członka WRN. Ten bandyta zastał Ludwika Bussa w obejściu gospodarczym, zaprowadził do stodoły i tam przyłożył mu broń do głowy i zastrzelił. Po dokonaniu zbrodni Schwarzmeier poszedł do ojca Ludwika, a mojego wujka, i zaczął mówić: "Jaki z was dobry gospodarz, wy się niczego nie bójcie, bo my was bardzo cenimy i jeśli by Wam kiedyś było czegoś trzeba, to śmiało zwróćcie się do nas, a my wam pomożemy. Ale teraz, kiedy ten bandyta nie żyje, to wyprawcie mu wspaniały pogrzeb!" Do tej chwili wujek nie wiedział, że jego najstarszy syn, Ludwik, został zamordowany. Ludwik Buss już od 1940 r. był na liście podejrzanych, kiedy to łącznik WRN wpadł z prasą i wyspał kilku ludzi, a między innymi Ludwika Bussa.

Te kilka tragicznych przykładów, z wyjątkiem Koziegopola, zostały dokonane na terenie gminy Maluszyn, a przecież ten zbrodniarz wraz ze swoją zgrają dokonał wiele takich zbrodni, wszędzie, gdzie się tylko zjawił, mordował Polaków, a w najlepszym wypadku aresztował i wysyłał do obozów koncentracyjnych. [...] Nareszcie przyszedł kres i na niego. W dniu 13 grudnia 1943 r. oddział AK pod dowództwem Alfonsa Kaszy, pseudonim "Alm", zlikwidował Schwarzmeiera. Miało to miejsce na trasie Radomsko – Gidle, pod Pławnem. Przy zabitym Schwarzmeierze znaleziono i zabrano teczkę z donosami i nazwiskami ponad 200 osób, które w przyszłości przeznaczone były do likwidacji. [...]

### Aresztowanie w Borzykowie

W marcu 1943 r. pewna grupa partyzancka dokonała skoku na filię "Banku Emisyjnego w Polsce" w Częstochowie. Skoku dokonano w dzień i zabrano dużo pieniędzy ("młynarek"). Grupa ta po wyjściu z banku odjechała samochodem do lasów między Cielętnikami i Borzykową. Niemcy za śladem dojechali do tego lasu i tu im się ślad urwał. Jednak Niemcy podejrzanej miejscowości nie mogli pozostawić bez zemsty, i tym przypadku także musieli wyrzucić zemstę i ślad po sobie zostawić. Przez kilka dni obserwowali Borzykową przez swoich ludzi i 21 kwietnia 1943 r. wpadli do Borzykowy i aresztowali 4 członków AK: 1. Antoniego Wodzisławskiego; 2. Tadeusza Górnica; 3. Stefana Górnica; 4. Franciszka Stypkę. Wszystkich aresztowanych wywieziono do Oświęcimia. Wrócił tylko Stefan Górnica. Jak na jedną wieś, to była duża wyrwa w naszej organizacji i wielka strata ludzi. Tym samym straciliśmy punkty kontaktowe. W dodatku, Antoni Wodzisławski, był łącznikiem z dowództwem i obsługiwał nie tylko Borzykową, ale i sąsiednie wsie. Znał kilka osób z kierownictwa. Z tego powodu trzeba było się przyciąć na pewien czas, dopóki się nie wyjaśni, czy nie nastąpiła wyspa. 10 grudnia 1943 r. żandarmi zamordowali w Borzykowie kobietę, Władysławę Stypkę, której męża aresztowano w kwietniu. Tę kobietę zamordowano za rzekome przetrzymywanie partyzantów w swoim domu. Żandarmi kazali Władysławie Stypce wchodzić po drabinie do sąsiada w stodole i podczas wchodzenia zastrzelili ją na ostatnim szczeblu. [...]

### Chłopcy

W początkach lipca 1943 r. pięciu chłopców z Maluszyna poszło do partyzantki, do oddziału AK "Marcina". Między nimi był też Głogowski, praktykant ogrodniczy w Maluszynie, syn Głogowskiego, gajowego z woli Życieńskiej. Zaledwie po tygodniu, jak ci chłopcy poszli do lasu, Schwarzmeier wraz ze swoją grupą oprawców przyjeżdża do Maluszyna i prosto poszedł do Piotra Szyguły i mówi mu, że on dobrze wie, że jego, (Szyguły), ogrodnik Głogowski poszedł do bandytów do lasu, a on przyjechał zlikwidować za to rodzinę jego ojca, gajowego z Woli Życieńskiej i

rodzinę brata, Bolesława Głogowskiego, gajowego w Budzowie. P. Szyguła szybko zorientował się, jakie niebezpieczeństwo grozi obu rodzinom Głogowskich, bo dobrze wiedział, że ten bandyta zdolny jest do wszystkiego i te dwie rodziny może wymordować. Chcąc tych ludzi ratować, Szyguła wpadł na genialny pomysł. Wpierw zaczął się głośno śmiać i mówi do Schwarzmeyera: A któż to panu naopowiadał takich głupstw? Mój praktykant ogrodnicy, Głogowski, pojechał na dalszą praktykę ogrodniczą do Niemiec. Maluszyński ogród uważał za mały ogródek, i że tutaj niczego więcej się nie nauczy. Niech pan wstrzyma się z likwidacją niewinnych ludzi i poczeka kilka dni, a przekonam się, że ja, Szyguła, mówię prawdę, bo Głogowski przyrzekł, że jak tylko dostanie się do Pracy w ogrodzie, to zaraz napisze. Schwarzmeyer dał się wprowadzić postawą Szyguły w błąd i uwierzył mu. Na pewno myślał, że to, co się kilka dni odwlece, to i tak jemu nie ucieknie. Przyjdzie czas i swoje zrobi. Z zachowania i wypowiedzi Schwarzmeyera wynikało, że ktoś mu doniósł o tym, że Głogowski poszedł do partyzantki. Całe szczęście, że ten ktoś nie wiedział o pozostałych czterech chłopcach, bo to dopiero by była straszna katastrofa. Czy to był płatny konfident Schwarzmeyera, jeżeli tak, to bardzo głupi, czy też ktoś, kto miał złość osobistą do Głogowskiego, tego nie udało się ustalić, ale długo nas to nurtowało, aż w końcu doszliśmy do wniosku, że to nie była robota konfidenta. Konfident sypnąłby wszystkich pięciu, którzy razem z Głogowskim poszli do lasu. Schwarzmeyer odjechał i czekał na list od Głogowskiego. O usunięciu zagrożonych rodzin Głogowskich w tym czasie nie można było nawet myśleć. Ci ludzie byli potrzebni tam, gdzie są. Oni opiekowali się przechowywaną bronią i różnym sprzętem partyzanckim. W ich domach były dobre meliny dla rannych i chorych partyzantów, a także punkty kontaktowe. Zresztą chodziło też o pozyskanie zaufania Schwarzmeyera. Aby ratować zagrożone rodziny Głogowskich, Szyguła musiał dowieść prawdy. Jeszcze tego samego dnia posłał bryczkę po dowódcę oddziału AK i Głogowskiego. Gdy obaj przyjechali, Szyguła powiadomił ich, jak sprawa wygląda i oświadczył, że rodziny Głogowskich trzeba przed tym zbirem ratować, a na to jest jeden, jedyny sposób: Głogowskiego-partyzanta natychmiastowy wyjazd do Niemiec. Dowódca oddziału plan ten zaakceptował, a Głogowski na wyjazd do Niemiec zgodził się bez najmniejszego oporu. Dalsze załatwienie sprawy Szyguła wzięła na siebie. Zaraz następnego dnia osobiście zawiózł Głogowskiego do Arbeitsamtu w radomsku, tam wyrobił mu skierowanie na wyjazd do Niemiec na praktykę ogrodniczą, i tak się skończyła partyzantka Głogowskiego. Za kilka dni nadeszły listy Od Głogowskiego. Jednym z tych listów Szyguła uspokoił Schwarzmeyera i swój pozycję mocno podbudował, co mało kolosalne znaczenie w dalszej jego konspiracyjnej działalności. Niemcy nabrali jeszcze większego zaufania do Piotra Szyguły, który to zaufanie dobrze wykorzystał dla organizacji, jak również dla miejscowej ludności. Janina Piekarska, nauczycielka z okresu wojny w Sudzinku, o Piotrze Szygule tak pisze: "Szyguła, bardzo wielki patriota i dobry Polak, b. solidny człowiek. Wielu ludzi ostrzegł przed Niemcami, mnie też ostrzegł, że Niemcy się mną interesują". Również żona Szyguły mocno była zaangażowana w pracy Ruchu Oporu. Jako aptekarka starała się o potrzebne lekarstwa i w wielu partyzantom udzielała pomocy. Dzielna kobieta i zacna Polka.

#### Przypadek

Tao wydarzenie wymaga cofnięcia się czasie i szerszego omówienia, gdyż nie będzie zrozumiałe. Od maja 1942 r. we wsi Mosty przebywał nie zameldowany oficer polski, kpt. Bolesław Chmielowski, który w lecie 1942 r. przeprowadził się do mnie. U mnie Chmielowski mieszkał przez 9 miesięcy, tj. do kwietnia 1943 r., następnie przeprowadził się do mojej sąsiadki Fatygowej, również bez zameldowania. W dniu 20 lipca 1943 r. krawiec, Józef Leśniak, niósł garnitur z czym schwytali go żandarmi. Po zrewidowaniu zapytali, komu niesie ten garnitur. Leśniak odpowiedział, że temu panu, co mieszka u Fatygowej, ale nazwiska jego nie zna. Żandarmi wraz z Leśniakiem przyszli do Fatygowej, ale Chmielowskiego nie zastali. Za to aresztowali kuzyna i wychowanka Fatygowej, Romana Rutkowskiego, i zabrali płaszcz Chmielowskiego. Otóż Chmielowski poprzedniego dnia pogniewał się z Fatygową i na tę ostatnią noc już nie przyszedł.

Dziwne są losy ludzkie i dziwne zdarzają się przypadki. Roman Rutkowski był pracownikiem gminy i żandarmi nic mu nie mogli zarzucić, ale to nic nie pomogło, i tak go wywieźli do Niemiec, do kopalni soli potasowej. Od tego dnia nad Stanisławą Fatygową zawisły czarne chmury, podobnie i nade mną, bo Rutkowski musiał powiedzieć Niemcom, gdzie Chmielowski poprzednio mieszkał. Tym samym Niemcy na mnie polowali, a kiedy dobrali się do mnie, z ich rąk wyratował mnie Piotr Szyguła, który potrafił przekonać Schwarzmeyera, że ja za przetrzymywanie Chmielowskiego nie ponoszę winy, gdyż o pobycie Chmielowskiego na terenie gminy Maluszyn dobrze wiedział burgemeister. Pierwszego sierpnia 1943 r. Schwarzmeyer zwolnił mnie, ale najpierw zażądał, abym śledził za Chmielowskim, i jak dowiem się,

gdzie on przebywa, mam zaraz donieść mu o tym, tylko jemu, bo do polskiej policji nie ma zaufania. Odpowiedziałem na to Schwarzmeierowi, że za te wszystkie kłopoty sam chcę się na Chmielowskim zemścić, i jeżeli tylko się dowiem, gdzie przebywa, to chętnie doniosę.

Kiedy wieczorem, pierwszego sierpnia wróciłem, w domu zastałem trzy listy napisane przez Chmielowskiego – jeden przeznaczony był dla mnie, drugi dla miejscowego księdza proboszcza, a trzeci dla matki Chmielowskiego. W liście pisanym do mnie, Chmielowski najpierw przeproszał za wszystkie przykrości, jakie spotkały Romana Rutkowskiego i mnie, i prosił o wybaczenie mu tego, gdyż to wszystko co wynikło, niezależne było od niego, a spowodował głupi przypadek. Następnie prosił o doręczenie adresatom listów pozostałych, z tym, że list przeznaczony dla jego matki miałem dopiero przesłać po skończonej wojnie. Na zakończenie jeszcze raz mnie przeprosza, bo obawia się, że już więcej się nie zobaczymy, bo popełni samobójstwo. Następnego dnia zaraz z rana osobiście doręczyłem list księdzu proboszczowi, Poray-Kobielskiemu, jako dla niego przeznaczony. Po otwarciu koperty okazało się, że oprócz listu, było w niej jeszcze 30 zł (młynarek). Z powodu słabego wzroku księdza proboszcza ten list ja przeczytałem. List ten był jakby częściową spowiedzią Bolesława Chmielowskiego. Najpierw zaznaczył, że poczuwa się do winy za zaareztowanie Romana Rutkowskiego i Konstantego Wodzisławskiego i uważa, że to nastąpiło z jego przyczyny, nad czym bardzo ubolewa, ale sam znalazł się w takich warunkach, że nic nikomu pomóc nie może, a w dodatku czuje się wyczerpany fizycznie i nerwowo. Jednocześnie prosił księdza proboszcza o przyjęcie tego skromnego datku i odprawienie Mszy św. za jego duszę. Po skończeniu czytania tego listu, ksiądz proboszcz rozplakał się i zapytał mnie, jak ma postąpić, bo za samobójców Mszy św. odprawiać mu nie wolno! Odpowiedziałem, żeby Mszę św. odprawił na intencję, by Bolesław Chmielowski wojnę szczęśliwie przeżył. Moje argumenty przekonały księdza i bardzo się z tego ucieszył. Następnego dnia Mszę św. dla Bolesława Chmielowskiego odprawił, na której i ja byłem. Jeszcze tego samego dnia, 2 sierpnia 1943 r., po południu Bolesław Chmielowski przysłał do mnie 14-letniego Zdzicha Kulczyckiego o pomoc znalezienia nowego, bezpiecznego lokum – meliny. Tego samego dnia ulokowaliśmy Chmielowskiego na melinie u Antoniego Musiała, pseudonim "Zaklika", członka AK w Sudzinka. U Antoniego Musiała Chmielowski przebywał do listopada 1943 r., a w listopadzie wstąpił do partyzantki AK, oddziału "Marcina" pod pseudonimem "Luboń".

[...] Ostatnio z Chmielowskim spotkałem się u Musiała w poniedziałek. Podczas tego spotkania Chmielowski powiedział mi, że w środę idzie do partyzantki. W piątek tego samego tygodnia wpada do mnie Schwarzmeier i pyta, gdzie jest ten bandyta Chmielowski? Na to pytanie podszedłem do Schwarzmeiera i powiedziałem: wierzcie mi, że nie wiem gdzie on jest, bo gdybym wiedział, to zaraz bym Wam doniósł. Ja wiem, że Życie moje zależy od Was i dlatego wszystko robiłem, ażeby Chmielowskiego wyśledzić, jednak do tego czasu nie udało mi się niczego dowiedzieć! Schwarzmeier na to: Ja wam wierzę, bo Chmielowski poszedł do bandytów! Skąd Schwarzmeier dowiedział się, że Chmielowski poszedł do partyzantki, tego ustalić nam się nie dało. Mieliliśmy pewne podejrzenia na jedną kobietę, ale skończyło się tylko na podejrzeniach. Początkowo sadziłem, że wymagania Schwarzmeiera ograniczą się tylko do poszukiwań Chmielowskiego, bo kiedy wzywał mnie do siebie, zawsze pytał tylko o Chmielowskiego. Aż gdy nie pamiętam już po raz który wezwał mnie na posterunek do Gidel,[...] tak jakby jakoś przypadkowo, bez celu, niby od niechcenia, zaczął mnie wypytywać o moich sąsiadów, a zwłaszcza o dwóch, których nazwisk szukał w swoich notesach. Od razu się zorientowałem, że chodzi tu o Mariana Paluszyńskiego i Władysława Szałowskiego, ale nadal udawałem, że nie wiem i zażądałem podanie mi nazwisk tych osób, które go interesują. Na moje szczęście nazwisk tych nie znalazł, ale powiedział mi, że jak je znajdzie, to do mnie przyjedzie. W międzyczasie oprowadził mnie po kilku biurach i wszędzie szukał tych nazwisk. Wtedy zauważyłem, że ten bandyta ma zapisanych setki różnych nazwisk. Po powrocie do Maluszyna złożyłem odpowiedni meldunek z zaznaczeniem, że w razie likwidacji S. Schwarzmeiera koniecznie trzeba zabrać jego notesy. I to się potwierdziło. Kiedy w dniu 13 grudnia 1943 r. Schwarzmeiera zlikwidowano, w zabranych notesach było ponad 200 nazwisk Polaków przewidzianych do likwidacji.[...]